Za europejską retoryką Macrona o potrzebie głębszej integracji kryją się konkretne, jak najbardziej narodowe, interesy Francji – twierdzi publicysta.

Przeczytaj na stronie Rzeczpospolitej.

Na początku marca Emmanuel Macron rozpoczął kampanię wyborczą do Parlamentu Europejskiego, publikując manifest pt. „Europejski renesans”. W ten sposób stanął do rywalizacji z krajową opozycją – „nacjonalistami” skupionymi wokół Marine Le Pen i zbuntowanym ruchem „żółtych kamizelek”. To próba złapania wiatru w żagle w sytuacji, kiedy notowania prezydenta są bardzo niskie.

Balon ambicji

Jednocześnie zamierza zmienić mapę polityczną przyszłego PE. W Europie jego rywalem nie są już wyłącznie partie określane w manifeście jako populistyczne bądź nacjonalistyczne, ale także ugrupowania proeuropejskie, które nie poprą jego pomysłów lub wybierają status quo w procesach integracyjnych. Celem jest przyciągnięcie do nowego eurougrupowania nie tylko partii z frakcji liberalnej (ALDE), ale możliwie wszystkich sił dotychczasowego establishmentu.

Macron gromi odradzający się nacjonalizm w Europie. Jednocześnie wiele z jego pomysłów jest zgodne z interesami francuskimi i były wcześniej promowane przez elity tego państwa. Nic dziwnego, że skrywane za europejską retoryką interesy francuskie zderzyły się z interesami innych nacji. Odpowiadając na wizję „Europejskiego renesansu”, przewodnicząca niemieckiego CDU zaproponowała Macronowi, aby w imię europejskości podzielił się francuskim miejscem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ albo zrezygnował z kosztownych comiesięcznych przeprowadzek Parlamentu Europejskiego do Strasburga. Obie sugestie miały przekłuć balon ambicji Macrona.

Powrót do korzeni

Wspomniana Annegret Kramp-Karrenbauer z CDU, prawdopodobnie obecnie bardziej wpływowa od samej kanclerz Merkel, zgodziła się z Macronem, że ważne są europejskie wartości. Choć nie była tak surowa jak wcześniej Merkel wobec Europy Środkowej. Uznała bowiem, że należy respektować specyfikę tej części UE, w tym również jej historię i kulturę.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl, autor: prof. Tomasz G. Grosse.

Co więcej, uznała, że trudno pogodzić religię islamu z europejskimi wartościami. Przyznała też, że Europa nie może być budowana bez europejskich narodów, które są źródłem legitymizacji demokratycznej dla UE oraz tożsamości społeczeństw. Trudno nie zauważyć, że takie podejście do unijnych wartości jest bliskie Prawu i Sprawiedliwości. W swoim programie wyborczym PiS na pierwszym miejscu postawiło kwestię działania na rzecz powrotu do wartości, które głosili twórcy integracji. Można się domyślać, że chodzi o normy chrześcijańskie, prorodzinne i kultywujące kulturę oraz tożsamość europejskich narodów.

PiS i PO jednym głosem

Spór o wartości pokazuje odmienne wizje państwa narodowego w procesach integracyjnych. Macron podąża w kierunku centralizacji władzy w instytucjach europejskich i wzmocnienia biurokracji brukselskiej. Tymczasem Kramp-Karrenbauer uznała, że silniejsza Europa nie musi oznaczać powoływania nowych instytucji bądź dalszych transferów władzy z poziomu narodowego na unijny. Wprost odwołała się do zasady subsydiarności, która ogranicza kompetencje unijne, jeśli mogą je realizować rządy narodowe. Sprzeciwiła się też rosnącej centralizacji i biurokratyzacji w UE. Wtóruje jej Grzegorz Schetyna, który w swojej odpowiedzi na propozycje Macrona wyraził wątpliwość, czy właściwym krokiem jest mnożenie unijnych agencji.

Dobrym przykładem omawianych różnic jest kwestia centralizacji kompetencji w unijnej polityce migracyjnej, których oczekuje francuski prezydent. Czym innym jest lepsza koordynacja polityk krajowych lub wsparcie narodowych straży granicznych przez Frontex, a czym innym zastępowanie państw w obowiązku ochrony granic zewnętrznych Unii lub odgórne rozdzielanie uchodźców i imigrantów między państwa.

Spór z Macronem dotyczy też wizji rynku wewnętrznego. Jego pomysł ochrony przed nieuczciwą konkurencją ze strony Chin bądź USA może zyskać poparcie większości państw członkowskich. Ale już zmiany polityki konkurencji w kierunku budowania europejskich czempionów (w domyśle francuskich i niemieckich) wzbudza kontrowersje. Np. Holandia i państwa nordyckie twierdzą, że będzie się to odbywać ze szkodą dla interesów ich przedsiębiorstw. Kanclerz Austrii uznał wręcz za utopijne propozycje Francuza, aby europeizować systemy społeczne i płace minimalne w państwach członkowskich. Krytycznie odniosła się do tego także przewodnicząca CDU. Jest to odejście od wcześniejszej linii Merkel, a także ukłon w stronę bardziej liberalnych państw Europy Środkowej, bałtyckich i Beneluksu. Nic

dziwnego, że odpowiedź polskich polityków – Grzegorza Schetyny i Konrada Szymańskiego – była w tej sprawie zgodna: propozycje Macrona prowadzą do obniżenia naszej konkurencyjności i do wzrostu kosztów budżetowych.

Nie porzucać NATO

„Europejski renesans" zawiera wiele inicjatyw, które zwiększają wydatki unijnego budżetu, a to nie podoba się państwom zwyczajowo niechętnym redystrybucji unijnej. Kramp-Karrenbauer nie poparła idei powołania Europejskiego Banku Klimatycznego, zamiast tego zgłosiła pomysł opodatkowania urzędników brukselskich. I choć francuski prezydent przemilczał w swoim manifeście kwestie reform strefy euro, prawdopodobnie nie chcąc rozdrażniać swoich oponentów, to jednak niemiecka polityk wyraźnie zastrzegła, że nie ma mowy o uwspólnotowieniu długów w unii walutowej.

Kolejną linią sporu będzie zapewne kwestia polityki obronnej. Prezydent Macron zamierza budować w Europie NATO-bis, powołując Europejską Radę Bezpieczeństwa i wzmacniając klauzule wzajemnej obrony. To może podważyć skuteczność sojuszu północnoatlantyckiego, jak również relacje z USA. Dlatego ponownie polscy politycy wykazali zadziwiającą zgodność. Zarówno Schetyna, jak i Szymański uznali, że przyszłość polityki obrony UE nie może zagrażać współpracy w ramach NATO, a jednocześnie należy wzmacniać więzi transatlantyckie.

Jest jeszcze inny aspekt rozważań o przyszłości wspomnianej polityki unijnej. Otóż politycy niemieccy, przy wstępnej zgodzie Paryża, od wielu lat lansują wprowadzenie głosowania większościowego w europejskiej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, a po zmianie traktatów także w polityce obronnej. Również stworzenie rady bezpieczeństwa w UE wzmocni już i tak silne wpływy największych państw członkowskich. W ten sposób wspomniane inicjatywy mogą zagrozić ważnym interesom geopolitycznym mniejszych państw, zwłaszcza kiedy będą miały odmienne koncepcje od tych największych, w zakresie np. zagrożenia rosyjskiego lub relacji z USA.

Dyktatura większości

Ostatni przykład dotyka kolejnego ważnego sporu o przyszłość integracji. Coraz szersza lista obszarów objętych głosowaniem większościowym w instytucjach międzyrządowych sprawia, że największe państwa zwiększają władzę nad mniejszymi. Praktyka pokazuje, że jest ona wykorzystywana zgodnie z ich

narodowymi celami, nawet jeśli są one skrywane za europejską retoryką.

W niektórych sprawach ma to decydujące znaczenie wyborcze, tak jak to miało miejsce w przypadku mechanizmu relokacji uchodźców z 2015 r. Należałoby rozważyć ograniczenie liczby obszarów głosowanych większościowo, a nie wprowadzać kolejne, np. w odniesieniu do spraw podatkowych bądź polityki zagranicznej. Niestety, w obu kwestiach stanowisko Niemiec jest bliskie francuskiemu. Osłabia to nieco deklaracje przewodniczącej Kramp-Karrenbauer, aby zmniejszyć transfer kompetencji na poziom europejski i szanować narodową demokrację.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl, autor: prof. Tomasz G. Grosse.